

Rozmowa z Mieczysławem Wiąckiewiczem
odbyta 21 października w domu p. Jadwigi Brodackiej.



Chciałbym na początku powiedzieć, że od tamtych wydarzeń minęło przeszło 50 lat, nie mam żadnych dokumentów i większość ludzi związanych z tamtymi czasami już nie żyje, ale zrobię co możliwe.

P. Zaczniemy od wybuchu wojny.

O. W 1939 r., mając 17 lat, żołnierzem jeszcze nie byłem. Już jednak w marcowej mobilizacji, z technicznej szkoły w Brześciu, do której uczęszczałem, wysłano grupę uczniów do pomocy wojsku przy poborze koni. Na kilka dni przed wojną wciągnięto mnie i kilku moich kolegów do obrony przeciwlotniczej w twierdzy brzeskiej. Przyjmowaliśmy meldunki od obserwatorów w terenie i stamtąd zarządzaliśmy alarm dla miasta Brześć. Pamiętam, że 1 września bardzo wcześnie otrzymaliśmy meldunki o pierwszych nalotach i wkrótce potem twierdza została bardzo silnie zbombardowana. Do 13 września pełniłem tą służbę. 13 września wojska niemieckie dotarły na przedpola miasta. Chciałem zgłosić się ochotniczo do obrony twierdzy, jednak odmówiono mi dosyć kategorycznie motywując odmowę brakiem broni i kazano mi iść do domu. 3-dniową obronę miasta przeżyłem w prowizorycznym ~~schronie~~ schronie w ogrodzie, nad nami przelatywały pociski artylerii niemieckiej i rządziej polskiej. Brześć poddał się chyba 16 września, a wojska sowieckie wkroczyły do miasta chyba 19 września, tam nastąpiło oficjalne spotkanie najeźdźców. Byłem przy tym, jak na ulicy Unii Lubelskiej przemaszerowały, a raczej przejechały wojska niemieckie, a za nimi wojska sowieckie - jaka to była różnica w ich wyglądzie. Przy wciąganiu czerwonej flagi sowieckiej na maszt wszystkim obecnym Polakom pokazały się łzy w oczach. Wtedy zdałem sobie sprawę z tego, że wojna jest przegrana i jesteśmy pod okupacją sowiecką. Niemcy wycofali się aż za Wisłę i początkowo Sowietci zajęli tereny aż po Wisłę i San. Brześć liczył wówczas około 60 tys. mieszkańców, składał się z około 50 % Żydów o co najmniej 20% innych mniejszości, czyli Polaków było chyba nie więcej niż 30%..

W listopadzie Sowietci uruchomili szkoły. Ponieważ byłem na ostatnim roku zacząłem uczęszczać do szkoły. Ojciec po dawnemu pracował w warsztatach kolejowych, dwaj starsi bracia nie wrócili z wojny, mieliśmy wiadomość, że są w obozach jenieckich.

P. Jak wyglądało wtedy miasto?

O. Pierwsza sprawa, jaka rzucała się w oczy, to żołnierze. Obdarci, milczący, chodzili najczęściej grupami, podśmiewaliśmy się z nich.

Szybko zarządzono wymianę pieniądza i ze sklepów zaczęły znikać towary, Sowieci kupowali wszystko. Szybko zaczęła się bieda.

P. Ków Pomómy teraz o początku organizacji.

O. W szkołach średnich, zaraz między Polakami doszło do różnych rozmów konspiracyjnych i wkrótce w średniej szkole technicznej powstała myśl założenia organizacji. Inicjatorami byli: Leszek Skinner (nie żyje), Kazimierz Rodziewicz (mieszka w Gdyni), Jadwiga Brodacka (z Gimnazjum im. Traugutta), jej koleżanka Ida Kolendówna (obecnie Poniatowska) i ja. Odbyło się kilka zebrań organizacyjnych, wciągnięto jeszcze kilka osób do organizacji i postanowiono, że organizacja będzie działała w systemie dziesiętnym, czyli każdy mógł zwerbować 10 osób, z których każdy kolejnych 10 osób. Ilu członków zwerbowano trudno mi powiedzieć, bo czas działania był krótki, już w końcu lutego i na początku marca nastąpiły pierwsze aresztowania. Organizacja nasza nie miała praktycznie żadnego znaczenia, bardziej koncentrowaliśmy się na rozmowach i marzeniach, chcieliśmy zdobyć broń, prowadzić działalność obserwacyjną, większość z nas była w harceście i właściwie ta organizacja nas inspirowała.

P. Jak się nazywała organizacja?

O. Płomień

P. Inni twierdzą, że nazwa brzmiała "Promień".

O. Jestem pewien, że jednak Płomień, pamiętam nawet, że niektórzy aresztowani, po wyroku tatuowali sobie znicz na przegubie ręki.

W lutym, jak mówikem nastąpiły pierwsze aresztowania. Pierwszym był Józek Górski (zginął w lotnictwie w Anglii). Aresztowano go przy przejściu granicy przez Bug, pomagał komuś przejść granicę. Na zamrożonym Bugu panował wtedy duży ruch między dwoma okupacjami. Po aresztowaniu pytano się kogo się znało w Brześciu. Ponieważ każdy musiał kogoś wymienić i tych ludzi automatycznie aresztowano. Jak Rosjanie doszli, że ktoś był zaangażowany w naszej organizacji, trudno mi powiedzieć, ale najprawdopodobniej, była to prowokacja i ktoś musiał sypać. W każdym bądź razie aresztowania trwały cały czas. Mnie i mojego brata aresztowano w początkach marca, wkrótce w więzieniu brzeskim znalazła się cała nasza organizacja, prócz tych, którym udało się uciec. Dlatego trzeba przyznać, że osiągnięcia organizacji "Płomień", po za tym, że dawało nam wrażenie, że coś robimy na rzecz niepodległej Polski, były żadne, za to konsekwencje bardzo drastyczne.

Zerzucono nam utworzenie tajnej organizacji, która miała na celu obalenie władzy sowieckiej. Gdybyśmy nawet byli bardzo dobrze zorganizowani (a przecież to były tylko początki) nie mogliśmy chociażby z braku czasu i środków popełnić tych wszystkich czynów, którymi na podstawie kilku artykułów z kodeksu Białoruskiej Republiki nas obciążono. Trzeba było przejść przez ogromną ilość nocnych śledztw, które trwały aż do sierpnia, kiedy wręczono nam akt oskarżenia i rozpoczęto nam sprawę. W czasie śledztwa nie było mnie, lecz szybko nocne śledztwo stało się dla mnie udręką. Nie mogłem nawet na chwilę zmróżyć oka, miałem nawet jakieś halucynacje słuchowe.

Ostatecznie z grupy aresztowanych "wyłowiono" 15, których w sierpniu 1940 roku postawiono przed sądem - t.j.w. Wojennym Trybunałem. Sąd trwał 3 dni, wyroki były 5, 8, 10 lat poprawczych, ciężkich roboczych łagrów "isprawitielnych trudowych łagierow". Poza adwokatami z urzędu nasi rodzice wynajęli 2 adwokatów prywatnych, co w niczym nie zmieniło sprawy. Czym się sąd kierował przy wyrokach nie wiadomo, bo wszyscy byli jednakowo zaangażowani, ale w systemie sowieckim wszystko jest zagadką. Po wyroku przydzielono nas do wspólnej celi i do października siedziałem w lepszych warunkach, gdyż pozwolono mi na widzenia i mogłem dostawać paczki. W tym czasie widziałem też ostatni raz rodziców, którzy wkrótce potem, jako niebezpieczny element zostali wywiezieni na Syberię.

W październiku zakładowano nas do towarowych wagonów. Zapomniałem dodać, że po wyroku nasza grupa została rozbita, część została w Brześciu ci mieli szczęście, bo nie zdążono ich wywieźć. Ja znalazłem się w więzieniu w Baranowiczach.

Zostałem wysłany w okolice Wołogdy. Jechaliśmy chyba z 5 dni, bo pociągi szły wolno, w nocy oświetlone z karabinami maszynowymi na dachach. Za Moskwą z naszego wagonu uciekł polski lotnik. Przez szparę w wagonie widzieliśmy, jak nieszczęśliwiec uciekał przez pole i jak dopadły go psy i mało co nie rozszarpały. Nam rozkazano wyjść z pociągu i leżeć w śniegu, zaczęto nas kopać, bić kolbami. Był to przedsmak tego, co nas czekało

Łagier, do którego nas przywieziono nazywał się Osinówka (?) i należał do kompleksu Karhopolskich Łagieriej - leżał ok. 200 km od Archangielska. Trudniono się tam lesozagatówką, dostarczaliśmy drewno do kopalni, do podtrzymywania stropów w korytarzach kopalnianych. W łagrze znajdowało się ok. 1500 więźniów w tym ok. 500 kobiet. Kobiety pracowały tak samo jak mężczyźni. Muszę powiedzieć, że doświadczenia łagierne

mogą być u różnych ludzi różne. Zależało to przede wszystkim od miejsca, w którym znajdował się obóz, rodzaju pracy oraz od osobistego urzędnika się w nim. Tak np. piekarz, kucharz, czy każdy więzień zatrudniony w samym obozie miał bez porównania lepiej niż ten, który pracował w brygadach roboczych i który był skazany na przebywanie poza obozem przeciętnie 12 godzin. To też zależało od pory roku, bo pracowało się od świtu do zmroku, czyli letnie dni były dłuższe niż zimowe.

Z zasady, przynajmniej na początku, nas Polaków zakwaterowano w osobnych barakach, żeby oddzielić od ~~pozostałych~~ ^{pospolitych} kryminalistów. Z czasem jednak to się zacierało, ciągle były jakieś reorganizacje, ciągle trzeba było przenosić się do jakichś innych baraków. Odbywało się to najczęściej w dni wolne od pracy, których oficjalnie mieliśmy 1 na miesiąc. Baraki były obliczone na 60 osób z piętrowymi narami do spania. Nie było sienników ani koców. W baraku był jeden lub dwa piece. Budzono nas na dwie godziny przed świtem, po szybkim śniadaniu - najczęściej zupa rybna, na głównym placu odbywał się apel, później marsz do pracy. W bramie obozu odbierali nas strażnicy mieszkający poza obozem. Brygady, które składały się z kilkudziesięciu ludzi były eskortowane przez 2 ludzi, niekiedy z psami. Po ustawieniu nas gęścią jeden ze strażników wygłaszał slogan, który jeszcze pamiętam "Brygada wnikanie, szag w prawo, szag w lewo, primieniaju rużju bez predupreżdzenia" - czyli uwaga krok w prawo, krok w lewo, używam broń bez uprzedzenia.

Po przybyciu na miejsce pracy wartownicy wyznaczali tzw "zonę pracy", której nie można było przekroczyć. Byłem świadkiem, jak strażnik zastrzelił Polaka w lecie 1941 r. Biedak chciał zerwać trochę jagód poza wyznaczoną strefą pracy. Zabitego zostawiono w lesie.

Brygady dzieliły się na mniejsze grupy, wspólnie pracujące i wspólnie starające się wypracować normę - była to ważna sprawa, bo od tego zależała jakość kotła - czyli jakość jedzenia. Normy te były praktycznie niewykonalne, niekiedy jedynie można było oszukać strażników. W zależności od wyrobionej normy przydzielano kotły, których było 3, z porcją od 300 do 800 g. chleba oraz dwa razy dziennie zupy z brukwi lub ryby. Właściwie jedzenie, a właściwie chleb był podstawą egzystencji więźniów i podstawym artykułem wymiennym. Co ciekawe, rzadko zdarzały się kradzieże chleba, inna sprawa, że groziło to sąsiedem.

W stosunku do wykonywanej pracy w bardzo trudnych warunkach, szczególnie w zimie - ilość i jakość pożywienia były niewystarczające i wszyscy szybciej lub wolniej opadali z sił. Warunki te pogorszyły się znacznie po ataku niemieckim na Rosję Sowiecką. Dla mnie, w wieku 18 lat wystarczyło się na przetrzymanie 1941 r.. Na szczęście w listopadzie 1941 na mocy umowy Sikorski-Majski i amnestii zostałem zwolniony z obozu. Obóz, z którego mnie zwolniono nazywał się Jercewo (?). Choć chodząły słuchy o tworzeniu się gdzieś Wojska Polskiego, lecz do wojska nikogo nie zwalniano. Wybór był ograniczony - kółchoz lub kopalnie na Uralu. Wybieraliśmy, o ile to było możliwe miejscowości najodleglejsze, bo od tego zależała ilość prowiantu na drogę, który składał się z sucharów i suszonej ryby oraz pewnej ilości rubli. Bilety do miejsca przeznaczenia nie mieliśmy odebrać na stacji Jercewo. Wręczono nam też "udostowierzenie" - zaświadczenie zwolnienia z łagru, bez którego w Rosji nie można było się poruszać. Drogę miałem odbywać z księdzem Woźnickim - płańiejszym kapelanem w jednym z oddziałów korpusu. Już w Wołogdzie zdecydowaliśmy się że nie pojedziemy do miejsca przeznaczenia - miasto Nowa Lela na Uralu (?). Chcieliśmy starać się dostać do Wojska Polskiego. Ostatecznie skrajnie wyczerpani dojechaliśmy do miasta Kirov, gdzie miał być zorganizowany transport do wojska. Po kilku dniach wyczekiwania ruszyliśmy. Już niestety na drugi dzień po wyruszeniu zawiadomiono nas, że wagon z prowiantem został okradziony i jesteśmy bez jedzenia. Kradzieży dokonali sami Polacy. Szybko skończył się też opał, i musieliśmy palić pryzce. Miało to tę złą stronę, że zabrakło miejsca do spania czy siedzenia, a przy leżeniu na deskach, na podłodze szybko przymarszało się do nich - najczęściej staliśmy. W tych warunkach ludzie zaczęli umierać z głodu i wycieńczenia. Po siedmiu dniach dotarliśmy do Mołotowa - mieliśmy 9 trupów - był to najokropniejszy dzień w moim życiu.

W Mołotowie czekały na nas jakieś władze rosyjskie i kazano nam udać się do łaźni, bo wszyscy byliśmy okropnie brudni. Byłem tak osłabiony, że po schodach szedłem na czworakach. Po gorącym prysznicu zrobiło mi się tak dobrze, że nie chciałem ruszać się z miejsca, niewiedomo kiedy straciłem przytomność. Obudziłem się w szpitalu. Miałem zapalenie płuc, 40 stopniową gorączkę. Dopiero po miesiącu doszedłem do siebie. W styczniu 1942 r. ruszyłem w drogę. Na szczęście rosyjskie pielęgniarki, które trzeba przyznać odnosiły się do nas bardzo przychylnie wystarały się dla mnie o lepsze ubranie, a nawet o walonki - tu muszę zaznaczyć, że z łagru wyszedłem mając na nogach "czunie",

czyli spięte drutem kawałki opon i owinięte szmatami.. Na dodatek komendant szpitala wystarał się dla mnie o kartę prowiantową z pozwoleniem wstępu do żołnierskich stołówek. Dalszą drogę odbyłem więc w kołchozie.

Wzdłuż Uralu przez Swierdłowsk i Czelabinsk dotarłem w lutym do Tockoje. Niestety w tym właśnie czasie przeprowadzono ewakuację polskich jednostek do Turkiestanu i Uzbekistanu i dopiero, gdy na stacji w Tockoje zebrała się duża grupa Polaków sformowano z nas tzw kompanie aspirantów i dołączono do oddziałów jadących do Guzar. Tam dopiero zostaliśmy oficjalnie przyjęci do wojska i w maju 1942 r. złożyliśmy przysięgę.